

Stanisław Chlebda (1909-1971)

Notka biograficzna - wspomnienie



Stanisław Chlebda – mój Ojciec – urodził się we wsi Byszyce pod Wieliczką 110 lat temu, 14 kwietnia 1909 roku. Był jednym z pięciorga dzieci rodziny tak biednej, że dopiero po kilkunastu latach od postawienia chałupy stać ją było na pokrycie klepiska podłogą z desek. Pieniądzy starczyło więc na wyedukowanie tylko jednego z dzieci; był nim właśnie Stanisław. Ze starego wojskowego szynela uszyto mu palto i posłano do szkoły: codziennie 9 kilometrów na piechotę do Wieliczki i 9 kilometrów z powrotem do Byszyc. Nie poprzestał na szkole powszechnej i gimnazjum w Wieliczce: w roku 1932 skończył Państwowe Pedagogium w Krakowie, zdobywając jako pierwszy z rodu wykształcenie i uprawnienia „do nauczania w publicznych i prywatnych szkołach powszechnych”. Zgodnie z tymi kwalifikacjami dwudziestoczteroletni nauczyciel podjął pracę najpierw w Porąbce, a następnie w Myszkowie, robotniczym mieście zagłębiowskim, gdzie w 7-klasowej szkole publicznej poznał nauczycielkę Zofię Dyjanę, wychowankę Państwowego Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego w Zawierciu. Zanim się w kwietniu roku 1938 zaręczyli, a rok później, już u progu wojny, pobrali, pędzili życie biedne, pracowite, ale, jak można sądzić z zachowanych zdjęć, szczęśliwe: wycieczka z uczniami do Wieliczki, wspólne wypadki rowerowe za miasto, odpoczynek w skałkach Jury Krakowsko-Częstochowskiej, pomoc przy żniwach w rodzinnych Byszycach. Obydwoje w roku 1934 wstąpili do Związku Nauczycielstwa Polskiego.



Ale równolegle z dokumentacją drogi nauczycielskiej w domowym archiwum pojawiają się świadectwa zdobywania innych jeszcze kwalifikacji: Włodzimierz, 24 czerwca 1930 r.: tytularny kapral Stanisław Chlebda z 6. Pułku Artylerii Polowej zdobywa tytuł podchorążego. 11 sierpnia 1933 r.: ppor. rez. Stanisław Chlebda, przynależny do 25. Pułku

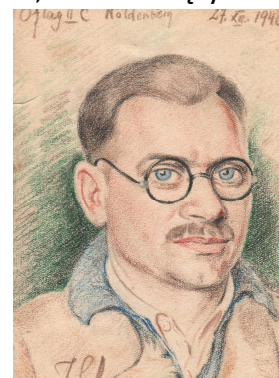


Por. rez. Stanisław Chlebda /pierwszy z prawej/ wraz z kolegami z 23. Pułku Artylerii Lekkiej, 1938 r.

Artylerii Lekkiej, wypełnił warunki próby przewidzianej dla jego kategorii wieku. Warszawa-Zamek, 21 października 1938 r.: prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki mianuje mojego przyszłego Ojca porucznikiem rezerwy w korpusie oficerów artylerii. Oznacza to, że kiedy przyjdzie czas – a przyszedł niespełna rok później – porucznik Chlebda zostanie 25 sierpnia 1939 r. zmobilizowany i uda się na front.

21 września 1939 r. po przegranej bitwie pod Tomaszowem Lubelskim Ojciec został wzięty do niewoli. Wojennym adresem Ojca stał się na kilka miesięcy Oflag XIB w Braunschweigu, a potem na całych 5 lat – Oflag IIC w Woldenbergu, dzisiejszym Dobiegniewie. Ze skąpych przekazów rodzinnych wiem, że po wybuchu wojny 27-letnia Zofia Chlebdowa i jej 10-letnia siostra uciekały przed Niemcami z Myszkowa w stronę Sandomierza, a następnie, po wkroczeniu Rosjan, uciekały w drugą stronę – skąd właśnie przyszły. Zaraz po powrocie do Myszkowa Mama dostała wiadomość, że Tato został wzięty do niewoli i że pociąg z jeńcami gdzieś się na pobliskiej stacji zatrzyma; Mama zdążyła się zobaczyć ze swym mężem i przekazać mu zapasowe okulary. Potem przez ponad pięć lat jedynym kontaktem między małżonkami były listy i niekiedy zdjęcia, z rzadka także paczki.

Z równie skąpych opowieści Ojca wiem, że był namiętym filatelistą, należał do Koła Filatelistów i zbierał znaczki poczty obozowej, które ocalił podczas ewakuacji (podobnie jak kilka obozowych drzeworytów). Zupełnie szczególnym obozowym dokumentem jest zaświadczenie o ukończeniu przez Ojca kursu z zakresu administracji szkolnej dla kierowników szkół powszechnych („w ilości 110 godzin i po złożeniu pracy piśmiennej na temat *Roczny plan wychowawczy kierownika szkoły*”) wydane przez Koło Nauczycielskie Oficerskiego Obozu Jeńców Wojennych w Woldenbergu 12 lipca 1942 r. i podpisane przez Przewodniczącą Komisji Kulturalno-Oświatowej Obozu podpułkownika Wilczewskiego.



St. Chlebda - portret obozowy wykonany przez nieznanego autora

Nie ma więc nic dziwnego w fakcie, że kiedy udało się Ojcu przeżyć zarządzoną przez Niemców ewakuację obozu i w końcu stycznia 1945 r. wrócić do Myszkowa, już kilka dni później, 2 lutego 1945 r., zgłosił się do pracy w myszkowskiej Szkole Publicznej nr 2.

Władze oświatowe chciały jednak inaczej. Na południu dzisiejszej Opolszczyzny, u stóp Kopy Biskupiej w Jarnołtówku – ówczesnie Arnoldsdorf – kilometr od granicy z Czechami stała opuszczona przez Niemców szkoła. Mało kto chciał się zapuszczać w te niepewne rejony, ale dawały one szansę na rozpoczęcie życia od zera: życia prywatnego i życia zawodowego. W połowie roku 1945 Rodzice przenieśli się na ziemię „śląsko-dąbrowską” i 4 września, inaugurując pierwszy powojenny rok szkolny, podnieśli nad jarnołtówcką szkołą polską flagę. Spędzili w Jarnołtówku siedem niesłychanie trudnych i pracowitych lat, mając jednak poczucie budowania czegoś, czego w tym rejonie nigdy nie było, a co miało szansę przetrwać dziesięciolecia. Szkoła w Jarnołtówku działa do dziś dnia, a mijam ją zawsze z tym większym wzruszeniem, że była też moim szczęśliwym domem rodzinnym.

W roku 1952 Ojciec rozpoczyna pierwszą ze swych dwóch kadencji posła na Sejm i cała rodzina przenosi się do Głuchołazów. Sejm jest w nieosiągalnej dla dzieci stolicy, więc to, co w oczach Brata i moich pozostało, to przede wszystkim codzienna nauczycielska krzątania Rodziców: najpierw w Szkole Podstawowej nr 1, potem, od roku 1956, w głuchołaskiej Szkole nr 3 „na górce”, którą Ojciec wznosił nie tylko własną inicjatywą, ale i, najdosłowniej, swoimi i Maminymi rękami, łopatą, motyczką, grabiami, bo takie to były czasy. Określenie „sojusz robotniczo-rolniczy” nie było w naszym domu hasłem z marksistowskiego podręcznika: Mama z robotników, Tato z chłopów, do pracy fizycznej byli zaprawiani od dziecka, a chociaż formuł „praca od podstaw”, „praca organiczna” nikt w domu nie używał, to właśnie one pasują najbardziej do zasad, którymi kierowali się Rodzice i które niejako z powietrzem wdychaliśmy na co dzień i my z Bratem. „Najpierw obowiązek, potem przyjemność” było pierwszą z reguł domowego dekalogu.

Z pracą nauczycielską Ojciec rozstał się dopiero w roku 1961, kiedy został sekretarzem Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego, co całą rodzinę zmusiło do porzucenia Gór Opawskich i osiedlenia się w ciemnym ówczynie i siermiężnym Opolu. Mimo że Ojciec zajmował na tamte czasy stanowisko, w domu nigdy się nie przelewał. Każdy dzień kończył się widokiem Mamy nad specjalnym zeszytem, w którym notowała najmniejszy nawet wydatek i sprawdzała, ile zostało do pierwszego, Ojciec przez całe swoje życie nigdy nie był w sanatorium i nigdy nie zobaczył zagranicy. Dziś biura poselskie to odrębne pomieszczenia w mieście opłacane z budżetu państwa; biurem poselskim Ojca był jego pokój w naszym domu i prywatny telefon. Zresztą dla nas z Bratem był nie tyle posłem i sekretarzem, ile Tatą właśnie, który budził nas co rano śpiewanką „Wstawajcie, lube dziatki, kukułka zakukała”, burczał „Ktoś tu ma długi ogon”, gdy ów ktoś nie zamknął za sobą drzwi, powątpiewał w różne solenne zapewnienia cierpkim „Pierdu-drzystu, będziesz organistą!” lub równie finezyjnym „Świdry-midry, w dupie widły, a na końcu gwóźdz!” bo język potrafił mieć po chłopsku barwny.

Rodzinna pamięć o pobycie Ojca w oflagu kojarzy mi się nieodmiennie z oprawionym w skromne ramki drzeworytem Stefana Michalskiego przedstawiającym warszawską syrenę w żołnierskim szynelu z ołówkowym podpisem autora. Kilka innych obozowych drzeworytów Ojciec trzymał w teczce, ten jeden wisił u niego w gabinecie. Pobyt Ojca w obozie nie był dla jego synów tajemnicą, ale była to informacja ujawniana oszczędnie, w proporcji, którą ta obozowa syrena dobrze ilustruje: jeden niewielki drzeworyt na wierzchu, wszystko inne, co Ojciec wyniósł z obozu – w ukryciu, chociaż nie pod kluczem. Zналиśmy z Bratem i te pozostałe drzeworyty, i sporą kolekcję znaczków poczty obozowej, i świadectwo ukończenia przez Tatę w obozie kursu dla kierowników szkół, i obozowy przybornik do golenia, którego Tato używał do końca życia. Zналиśmy też te zdjęcia, które Mama Ojcu do obozu wysyłała i które wraz z Nim wróciły po pięciu latach do domu; były osobliwe, gdyż miały na brzegu szereg dziurek. Nie wzięły się z tego, że je Tato przyspilał do pryczy, jak przez lata myślałem, lecz z tego, że były zgodnie z przepisami przyszywane do wysyłanych z Myszkowa listów. Na jednym ze zdjęć zachował się zielony kordonek, którym fotografia ta była do listu przyszyta. Z tyłu każde z tych zdjęć opatrzone jest stemplem niemieckiej cenzury obozowej: „Geprüft”.



Nie przypominam sobie jednak, aby to Tato o historii tych rzeczy opowiadał, nie mam w pamięci ani jednej Jego woldenberskiej opowieści, pamiętam jedynie, że Tato nucił czasem „Oj, Aniu, Aniu, wyjdź przed sień” (kiedyś do tego śpiewu dołączyła Mama) i wiedziałem, że była to piosenka obozowa. To raczej Mama – też rzadko i oszczędnie, ale jednak – dawkowała nam swoje wojenne wspomnienia, z których dzisiaj, po tylu latach, pozostały tylko strzępy. To od Mamy wiem, że Tato przesiedział w obozie (w domu nie mówiło się „oflag”, wyłącznie „obóz”) całą wojnę, że wysyłała Mu paczki, że w pierwszą obozową Wigilię Tato z kolegami spruli czyjs zielony sweter i zrobili z tej włóczki choinkę, a przede wszystkim to, że wszystko, co Ojcu udało się z obozu wynieść, ma szczególną cenę ze względu na okoliczności: „Podczas ewakuacji obozu ludzie wyrzucali wszystko, nawet szczoteczki do zębów, żeby lżej było iść, a twój Tato jednak zachował te znaczki i drzeworyty”. Tato bardzo nie lubił cebuli; mam w uszach słowa Mamy, że „nawet w obozie, gdzie był głód i chłód, Tato cebuli do ust nie brał”; owo „nawet w obozie” było intonacyjnie podkreślane. Nie było w domu żadnego „kultywowania pamięci”, żadnej celebracji rocznic – czy to wzięcia Ojca do

niewoli, czy wyzwolenia obozu; wiedza na temat obozowych losów Ojca była pewnego rodzaju oczywistością, która – niestety – nie wymaga pytań. Nawet gdy Ojciec otrzymał w latach 60. Krzyż Walecznych za kampanię wrześniową (była to, zdaje się, jakaś bardziej masowa akcja ówczesnych władz), nie skłoniło to nikogo w domu do wojennych wspominków – przynajmniej w obecności synów. Tato czytał wojenną literaturę wspomnieniową, zdaje się, że korespondował z paroma kolegami z obozu, ale nie wiem nawet, czy brał udział w którymś ze zjazdów woldenberczyków po roku 1958 i czy odwiedził teren obozu, jak czytany przez niego Marian Brandys. Mam jedynie w pamięci, z jak gorzkim przekąsem Mama czy Tato mówili o tym, że w barakach obozowych władze polskie urządziły po wojnie hodowlę świń.

Mama przechowywała też w kredensie listy Taty z obozu; było ich na oko kilkadziesiąt, wszystkie pisane ołówkiem, ale w miesiąc po śmierci Mamy Tato zamknął się w pokoju i wszystkie te listy zniszczył. Miesiąc później sam nie żył.

Zmarł nieoczekiwanie w wieku ledwie 62 lat. A może należało tego oczekiwać, gdy w roku 1971 zmarła nasza Mama: po 32 latach małżeństwa byli z sobą tak silnie związani, że gdy zabrakło jednego, po 2 miesiącach odeszło i drugie. Było ich wspólnym życzeniem, by na ich płycie nagrobnej widniał napis „Nauczyciele”; tak się też stało. Stoi za tym napisem niezwykła droga dwojga ludzi z drewnianej chłopskiej chałupy i z kamiennego robotniczego domu, droga typowa dla całego pokolenia Polaków tamtego czasu, inteligencji w pierwszym pokoleniu, która tę inteligenckość wydarła sobie pazurami, potem, krwią i rozumem i która w ten inteligencki etos wprowadziła drugie pokolenie – swoje dzieci.

*Opracował prof. Wojciech Chlebda, syn por. Stanisława Chlebdy
na podstawie przekazów i pamięci rodzinnej oraz zachowanych dokumentów*

Opole, październik 2019